

MONIKA SZWAJA

Powtórka z morderstwa



Prószyński i S-ka

MONIKA
SZWAJA

Polecamy

Zapiski stanu poważnego

Jestem nudziarą

Artystka wędrowna

Stateczna i postrzelona

Dom na klifie

Romans na receptę

MONIKA
SZWAJA

Powtórka
z morderstwa



Prószyński i S-ka

Copyright © Monika Szwaja, 2006

Projekt okładki
Paweł Rosołek

Redakcja
Ewa Witan

Redakcja techniczna
Jolanta Trzcńska-Wykrota

Korekta
Mariola Będkowska

Łamanie
MAGRAF

ISBN 978-83-7648-568-3

Warszawa 2011

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
DRUKARNIA SKLENIARZ
ul. Lea 118
31-033 Kraków

Krysi Kajewskiej, Rafałowi Sory i Sławkowi Solarkowi
– z wielkim podziękowaniem za wszystkie wspólne realizacje (dotychczasowe i – miejmy nadzieję – kolejne)...

Ilonkę Karambol dedykuję z sympatią Madzi Nieniewskiej z Polskiego Radia Szczecin.

Wszystkie audiofilia – Adamowi Iwaszkiewiczowi, serdecznie!

Fioletowego jeepa – koledze Robertowi Romanowiczowi...

Mopsa Gizmo – mopsowi Gizmo, chociaż wątpię, żeby mu się chciało przeczytać.

A komisarza Tomasza pani Agnieszce Zimnej ze Śląska.

Dziękuję też bardzo pięknie Ani, Pawłowi i Wszystkim, którym zawracałam głowę (czasem po nocach, a czasem przeskadzając w zakupach) głupimi pytaniami.

Szanowni Czytelnicy, uprzejmie zawiadamiam, że tę książkę napisałam wyłącznie dla zabawy. Oczywiście wszystko, co zostało tu przedstawione, jest fikcją, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, jest wymyślone, nieprawdziwe... jakby to jeszcze określić, żeby nikogo nie kusiło poszukiwanie „drugiego dna”?... Nie ma żadnego dna. Jest niewinna rozrywka. Wyłącznie!

Ilonka Karambol powoli popadała w depresję.

Mąż, Jaromir Kopec, którego kochała miłością pierwszą, choć ostatnimi czasy nieco jakby przykurzoną – ale była mu wierna, do diabła! – rzucił ją dla patykowatej miłośniczki wędkowania na ciepłym kanale koło Dolnej Odry. Sam był zapalonym wędkarzem, czego zupełnie nie rozumiała Ilonka – ale godziła się z tym, cholera jasna! – absolutnie natomiast nie podzielał namiętności żony do motoryzacji w ogóle i do pewnego dwuletniego jeepa cherokee w szczególności. Jaromir Kopec miał jej chyba trochę za złe, że kupiła tego jeepa za pieniądze odłożone na budowę własnego domku – ale to były jej pieniądze, szlag by to trafił! – tatuś jej dał, kiedy spieniężył posiadłość otrzymaną w spadku po własnej babce (posiadłość była zresztą dość mikra, nawet na nówkę nie wystarczyła). Małżonek krzywo patrzył również na fakt, iż ulubiona zabaweczka Ilonki paliła nie mniej niż dwadzieścia litrów benzyny na sto kilometrów – a ile miała palić z pojemnością pięć przecinek dwa?

Szczególnie intensywnie Jaromir Kopec nienawidził koloru karoserii samochodu swojej żony – soczystego fioletu przypominającego *Clematis Jackmani* w pełni rozkwitu.

Rozwiedli się jak ludzie kulturalni, bez orzekania o winie.

Niewielkie mieszkancko w wieżowcu zajmowane przez nich dotychczas, jeep zwany przez właścicielkę Zygrydem i mops imieniem Gizmo pozostały przy Ilonce. Mops należał w zasadzie do Jaromira i to Jaromir był jego samcem alfa, niestety – patykowata donna twierdziła, że jest uczulona na psią sierść. Biedny Gizmo, pozbawiony przewodnika stada, natychmiast dostał potężnej nerwicy.

Ilonka powróciła do panińskiego nazwiska i nazywała się teraz Dymek.

Stan depresyjny pogłębiał u niej fakt, że jedyny człowiek, na którego ewentualnie zamieniłaby swojego Kopcia – kolega z redakcji informacji szczecińskiej telewizji – rzucał telewizję niczym Kopeć Ilonkę, ożenił się z jakąś tłustą facetką i razem założyli rodzinny dom dziecka.

Boże jedyny. Dom dziecka...

Ilonka mogłaby pracować z dziećmi, owszem, gdyby ją do tego zmusiły jakieś okoliczności, dzieci jej nie brzydziły w najmniejszym stopniu, mogła z nimi rozmawiać i nawet się zaprzyjaźniać – z własnej woli jednak zdecydowanie wybierała profesję dziennikarską. Ruch – to było coś, bez czego absolutnie nie mogła żyć. Bardziej niż bez Kopcia. Ilonka była pistoletem doskonałym, stanowiłaby na pewno ozdobę każdej redakcji informacji w kraju, ale jakoś nie chciało jej się opuszczać Szczecina. Przywiązała się.

Ulubioną działką dziennikarską spośród kilku, które uprawiała, były informacje o ruchu drogowym. Zawdzięczała im swój pseudonim, znany doskonale w całej motoryzacyjnej Polsce. Niestety – od pewnego czasu miała wrażenie, że wszystko już w tej dziedzinie pokazała... musiałaby się jej trafić katastrofa o jakichś niewyobrażalnie wielkich rozmiarach, a na taką trudno liczyć, niestety.

To znaczy na szczęście.

Do depresji porozwodowej połączonej ze smuteczkiem spowodowanym zniknięciem Adama Grzybowskiego, potencjalnego kandydata na pocieszacza, dołączyło się więc nieprzyjemne uczucie wypalenia zawodowego.

Po sześciu latach pracy. Za wcześnie.

Ilonka zastanawiała się poważnie, czy w tej sytuacji do rozległego spektrum swoich zainteresowań zawodowych nie dołączyć spraw ściśle kryminalnych. Mordercy, bandyci, wyłudzacze, szantażyści, gansterzy, mafiozi. Jakaś zmiana. Niestety, nie miała odpowiednich chodów w wydziale

kryminalnym, a zaprzyjaźnieni policjanci z drogówki, którzy ją zresztą szalenie lubili, stanowczo odmawiali pośredniczenia w zawieraniu nowych znajomości.

– Ty, Ilonka, masz zanadto wybuchowy temperament – powiedział jej kiedyś wiceszef wojewódzkiej drogówki, odwieczny przyjaciel, z którym wypłała morze wódki i zjadła beczkę słonych śledzi pod tę wódkę. – Zrozum, kwiatuśku, nie mogę cię nasłać na moich kryminalnych kolegów, bo by mnie przekłeli. Ty myślisz, że oni tak od razu biorą ekipę antków w kaskach, kamizelkach i z wielkimi armatami, a najlepiej w ogóle ze śmigłowcem, i pędzą walczyć ze złem panującym wśród nas, i robią dużą strzelaninę, i masę wybuchów. A to przecież nieprawda. Oni dłubią. Tygodniami, miesiącami, czasem latami. Ty się do dłubania nie nadajesz, ty jesteś wulkan, dziewczyno. Więc zostaw kryminalnych w spokoju, niech oni pomału robią swoje, a ty jedź z naszymi chłopakami na akcję „Bezpieczny powrót do domu”. Nałapiesz sobie klimatów. Fajnie będzie, zobaczysz.

Ilonka trochę podyskutowała, ale efektu wielkiego to nie dało. Poza tym wskutek swojej porozwodowej depresji straciła sporą część wrodzonej waleczności. Pogodziła się z sytuacją, niemniej gdzieś w tyle głowy pozostało jej marzenie – a nawet postanowienie: dorwać się wreszcie do porządnych, pełnotłustych przestępców i może nawet zmienić ksywę... z niezbyt poważnej Ilonki Karambol na Ilonę Kryminał...

– Hej, Szymon, co tam masz w tym pudle?

Realizator światła, który w zasadzie powinien już siedzieć w reżyserce, przemierzał wielkimi krokami studio, lawirując pomiędzy kłębiącym się tam tłumem pracowników i gości programu. Ciągnął za sobą ogromny srebrzysty kufer, a na twarzy miał wyraz cichej acz nieco wymuszonej rezygnacji.

Zatrzymał się w pół drogi i obrzucił pytającą ciężkim wzrokiem.

– Co mam mieć? Lampy. Maciek sobie zażyczył, żeby mu doświetlić tamten cholerny kącik. Bo mu się scenografia gubi. Czy was wszystkie kompletnie pogięło, żeby tylu ludzi na raz zapraszać?

– Nie wiadomo, czy to nie jest nasza ostatnia szansa na zrobienie jakiegokolwiek programu – prychnęła Wiktoria.

– Co ty, nie wiesz, na jakim świecie żyjesz?

Szymon pokiwał głową ze zrozumieniem i podjął swoją wędrówkę na przełaj przez studio. Wiktoria udała się do charakteryzatorni, sprawdzić, czy wszyscy goście już są upudrowani. Do wejścia na antenę zostało jeszcze czterdzieści minut, ale program wymyśliły razem z Lalką mocno skomplikowany i należało piętnaście razy wszystko sprawdzić, żeby nie było głupich niespodzianek.

Najgłupsza właśnie siedziała na fotelu i poddawała się zabiegom Tereni-Pudernicy.

– Jezu – powiedziała niewyraźnie, bo Terenia akurat poprawiała konturówką obrys jej ponętnych usteczek, zazwyczaj złożonych w miluchny ciup. To nie do wiary, ale faceci lecieli na ten ciup jak muchy na lep. – Jezu, Wika, ja sobie nie dam rady, ja nic nie pamiętam, nie odróżniam tych twoich wszystkich gości, ja cię proszę, ty najlepiej bądź w studiu!

– W studiu ci nic nie podpowiem – odparła sucho Wiktoria. – Mogłabym cię co najwyżej łąpać za rączkę od czasu do czasu. Albo za nóżkę. Lalkę masz w pobliżu, a ja siądę z Maćkiem w reżyserce. Nie martw się, wszystko ci z góry powiem. Tylko żebyś nie myliła gości. Zapisz sobie, w jakiej kolejności siedzą. Patrz na monitor, będziemy ich podpisywać. Nie bój się, będzie dobrze.

Wydobycie z siebie cieplejszych tonów kosztowało Wiktoria sporo. Najchętniej trzasnęłaby koleżankę w ten głupi łeb, żeby sobie chociaż odrobinę ulżyć, ale wtedy boska Karola Pućko zapomniałaby prawdopodobnie nawet własnego nazwiska.

Boska Karola pojawiła się w studiu wczoraj w charakterze tej najgłupszej niespodzianki. Nie była sama. Przed nią tanecznym krokiem postępowiała pani Ewelina Proszkowska, od dwóch lat dyrektor ośrodka telewizyjnego w Szczecinie. Wokół niej powiewały, jak zwykle, liczne szale, a za nią niósł się oszałamiający zapach najdroższych perfum, jakie można kupić w Sephorze.

– Pani Wiktorio, pani Eulalio – powiedziała dyrektorka, jak zwykle tonem władczym. – Podjęłam decyzję co do pań tokszołu...

Wika i Lalka spojrzały po sobie w popłochu. Za chwilę miała się zacząć próba tegoż tokszołu. W studiu kłębiły się tłumy ludzi, przeważnie w wieku późnolicealnym, choć było też kilkoro bardziej dorosłych. One same zamierzały za moment usiąść na miejscach prowadzących. To znaczy tak im się wydawało. Okazało się, że miały mylne wyobrażenie co do kształtu własnego programu.

– Będzie lepiej, jeżeli panie nie będą go same prowadzić. Karola zrobi to bardzo dobrze... namówiłam ją, nie chciała początkowo, bo to tak niezbyt wygodnie, wejść z marszu w prawie gotową produkcję... niemniej dla dobra sprawy...

– Jakiego dobra sprawy? – Lalka była blada jak śmierć, podczas gdy Wika spurpurowiała i straciła głos z wrażenia. – Pani dyrektor chce nam narzucić prowadzącą *teraz*? Kiedy kończymy przygotowania? Zaraz zacznie się próba, a jutro jest antena! Na żywo, pani dyrektor!

– Wiem, że na żywo, pani redaktor – westchnęła po błażliwie dyrektorka. – Mają panie dwa dni czasu. Bardzo dobrze, że jest próba, Karola wejdzie z marszu. Na pewno dacie sobie radę. O, jest pan Kochański. Doskonale. Panie Macieju, mała zmiana. Uważam, że dwie prowadzące są niepotrzebne, wystarczy jedna. Karola to robi.

Maciek Kochański, realizator programu, osłupiał. Zszedł na chwilę z reżyserki, żeby pogonić całe towarzystwo, widział, oczywiście, dyrektorkę i Karolę Pućko, ale

teraz powód ich przybycia na próbę przyprawił go o mały szok – i dużą złość.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – powiedział uprzejmie, stłumiwszy uczucia. – Karolinka? Miałem wrażenie, że to Lalka i Wika prowadzą. To ich koncepcja i ich program...

– Nie zaprzeczam bynajmniej, panie Macieju. Koncepcja, która bardzo mi się podoba, nawiasem mówiąc. Ale sam pan przyzna, że nie ma takiego obowiązku, żeby autor był jednocześnie prowadzącym. Pół roku temu... co najmniej pół roku temu umawiałam się z paniami, że nie będą prowadzić w studiu. Nie rozumiem, czemu panie mają takie parcie na szkło.

– Ale Lalka i Wika bardzo dobrze prowadzą, pani dyrektor. Ponadto są doskonale przygotowane... w końcu to one wszystko wymyśliły i pracowały nad koncepcją programu od miesiąca...

– Pani Maćku – przerwała mu bezceremonialnie dyrektorka. – To, że wymyśliły i pracowały, nie oznacza, powtarzam, że muszą prowadzić. A co do tego, że robią to dobrze, to, proszę wybaczyć, ale zdanie dyrekcji na ten temat jest wręcz przeciwne. Chciałam być delikatna, ale skoro państwo sami domagają się prawdy bez osłonek... Cóż. Przecież panie wiedzą, jak wyglądają, prawda? Pani Manowska, ile pani ma lat? Pani Wojtyńska, ile pani ma nadwagi? Bardzo przepraszam, ale prezenter musi trzymać pewien standard!

– Czy pani dyrektor uważa, że jestem grubsza od Wojciecha Manna? – Wika odzyskała głos. – Którego wszyscy równo uwielbiają?

– A co, do diabła, za znaczenie ma mój wiek? – sarknęła Lalka. – Wyglądam zupełnie przyzwoicie! A to jest program autorski i w dodatku publicystyczny, nie rozrywkowy! Kankana nikt nie tańczy! Rozmawiamy o filozofii i literaturze.

– Pani Eulalio... naprawdę panie się same napraszają,

żeby im mówić nieprzyjemne rzeczy... a ja chciałam okazać maksimum delikatności. Ale dobrze. Skoro panie chcą. Uważam, że źle panie prowadzą.

– Co to znaczy „źle”? – Wika była wściekła i warczała jak zły pies. – Co to znaczy? Obie z Lalką mamy bezterminowe karty ekranowe, pani dyrektor! Prezenterskie! Co to znaczy „źle”? Co nam się nagle popsuso?

– Boże jedyny. – Pani dyrektor wzniosła oczy ku niebu. – Źle to znaczy źle. I niech pan się nie stara bronić koleżanek, panie Macieju – uprzedziła Maćka, który już nabierał powietrza w płuca. – Te niedomówienia pani Wiktorii są po prostu nieznośne! A pani Eulalia jest infantylna...

– Chyba pani dyrektor nie wie, co oznacza słowo „infantylny” – prychnęła Eulalia. – A niedomówienia są bardzo dobre, bo wtedy rozmówca zaczyna sam z siebie mówić więcej! To właśnie cholerni amatorzy przygotowują sobie wszystkie pytania na kartce i nie słuchają odpowiedzi, tylko klepią to, co sobie przyszykowali zawczasu, ma to sens, czy nie...

– Poza tym, pani dyrektor – wtrąciła Wika – obie mamy z Akademii Telewizyjnej doskonałe opinie, z zaznaczeniem, że bardzo dobrze prowadzimy...

Pani dyrektor miała dość tej rozmowy.

– Pani Wiko, nie dyskutujemy już. Może jestem zabawna, ale wyznaję zasadę, że polecenia dyrektora należy po prostu wykonywać. Jeśli paniom nie odpowiada moja propozycja ratowania waszego programu, to ten program może się w ogóle nie odbyć. Tylko że wtedy będziemy się musieli poważnie zastanowić nad sensem naszej dalszej współpracy. Panie, jak się zdaje, niewiele ostatnio robią...

Wika i Eulalia miały śmieć w oczach. Maciek, z natury przytomniejszy od nich obydwu, rzucił im ostrzegawcze spojrzenie. Doskonale wiedział, że żadne ich propozycje w ciągu ostatniego roku nie zyskały uznania pani dyrektor; wiedział też, że pospadały im dotychczasowe programy,

łącznie z nieśmiertelnym cyklem morskim Wiki i Rocha Solskiego, zwierzątkami Eulalii i sympatycznym cyklem produkowanym wspólnie z telewizją rzeszowską, który Wice świetnie wychodził. Rozumiał ich złość i rozgoryczenie. Uważał jednak, że dłużej klasztoru niż przeora i był zdania, że megierę trzeba przeczekać.

Megiera skinęła na czającą się nieco z tyłu Karolę.

– Pozwól, moja droga, musisz się jak najszybciej zapoznać ze scenariuszem, bo państwo przecież powinni już zaczynać próbę. Najwyższy czas, goście się niecierpliwią. Pani Wiktorio, cieszę się, że nie jest pani osobą małostkową i zaprosiła pani pana Solskiego, mimo że już nie pracujecie razem...

Wiktoria lekko się zachłysnęła i podała Karoli Pućko własny scenariusz.

– Lalka to z tobą szybko omówi, jak złapię Krysię, dam ci inny egzemplarz, bo na tym są moje notatki. Ja teraz pójdę z Maćkiem do gości, rzeczywiście trzeba z nimi pogadać.

Na szczęście wszyscy goście byli zaprzyjaźnieni i zamiast narzekać na telewizyjną niepunktualność, zaczęli się już lekko podśmiewać.

– Cóż to się stało, Wikuś? – Roch Solski, jak zwykle życzliwy, pierwszy zauważył furię w oczach przyjaciółki redaktorki. – Wyglądasz, jakby ktoś cię w zęby strzelił, za przeproszeniem.

Wika westchnęła głęboko.

– Gorzej, Rochu. Słuchajcie, przepraszamy was obie z Lalką, ale przed chwilą szefowa zmieniła nam prowadzącego. To znaczy zamieniła nas na jedną taką, co się właśnie teraz przygotowuje.

– Pućko Karola, znana gwiazda? Widzę ją z waszą dyrektorką i naszą drogą Lalką. Ona ma poprowadzić to, o czym mówimy od miesiąca?

– Tak, a ja jej będę podrzucać pytania na ucho...

– O ile sobie nie wyjmie słuchawki – rzucił niedbale

Maciek. – Ostatnio mi zrobiła taki numer i mogłem do niej krzyknąć długo i namiętnie. Oczywiście zwałała winę na dźwiękowców. Tak czy inaczej, musimy zaczynać. Czy jesteście gotowi? Panie profesorze...

– Od tygodnia jesteście na ty – zaśmiał się Marek Rudzki, filozof i człowiek pogodny. – Miło było u Wiktorii na grillu, ale nie wiedziałem, że aż straciłeś kontakt z rzeczywistością...

– Tylko pamięć! – Maciek, też z natury pogodny oraz konstruktywny, przeszedł do porządku dziennego nad zmianą dwóch prowadzących redaktorek na jedną gwiazdę i usiłował zacząć pracę. – Jeszcze pani Agata, prawda? O, jest, z młodzieżą. Pani Agato, prosimy na miejsce, kolega panią uzbroi w mikrofon. A pana pisarza ktoś widział? Wika?

– Siedzi w holu i tokuje przez komórkę. Bardzo się stara, żeby wszyscy słyszeli, że rozmawia z dyrektorem Teatru Narodowego. Słuchajcie, może to on chciał mieć Karolę za prowadzącą?

– Na pewno! – Krysia, zdyszana, doszła do nich, szarpiąc się ze swoim bogatym wyposażeniem dźwiękowym zainstalowanym na pasku dżinsów. – Kurczę, coś mnie tu przyszczypało. Przepraszam, że mnie nie było, ale musiałam skserować scenariusz dla gwiazdy. Wika, po co ci był ten cały Paproch? Nie masz w Szczecinie innych literatów?

– On napisał ostatnio dramat o dwóch facetach walczących z żywiołami i dzięki temu przewartościowujących całe swoje parszywe życie – westchnęła Wika. – Pasuje nam do tematu. Poza tym o mało co, a dostałby za ten dramat nagrodę literacką „Nike”. Najki, jak mówi nasza młodzież. Był nominowany. Agata mówi, że on ma prawdziwy talent.

– Talent ma jak cholera – przytaknęła Krysia, odczepiwszy od siebie drucik, który ją szczypał w okolicy lewej nerki. – Kawalek z tego dramatu drukowali w „Angorze”. Nawet naszych maszynistów zbrzydziło.